№ 18 WARSZAWA, DNIA 3 MAJA 1913 ROKU ROK III

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

JAN POWALSKI.

W GRODZIE ŻAKÓW.

Ciąg dalszy.

Między widzami objaśniano sobie głośno, o co idzie.

— To frant! - mówiono,— ten, co frantowskie sztuki na jarmarku pokazuje.

Ponieważ powołaniem franta jest bawienie tłumów pospólstwa, tak jak błazna rozweselanie króla i możnych. przeto cisnący się wokół widzowie, nim jeszcze co usłyszeli, już się śmieli, czekając chciwie, co frant na tłustego kupca wymyśli. Frantowi zaś tego tylko było trzeba; gdy uczuł tak wiele widzów wokół siebie, zabrał się do rzeczy. Powiedział do kupca poważnie:

— Kmotrze miły, krakowskim targiem: niech będzie po połowie. Czem mnie darujesz, tego tobie połowicę oddawam: ja wałkoń? Tedyś ty hultaj. Ja hultaj? Tyś wałkoń.

Krupka, nie słuchając, rzucił się w wązkie przejście, zastawione w połowie lady, z pięścią ku frantowi.

Ten przysiadł, zręcznie odskoczył, i wrzasnął:

— Pokuś słowy, niż sięgniesz do głowy!

Widzowie cieszyli się, kupiec krzyknął srogo na żaków, pohamowawszy się co do franta, gdyż nie uchodzi z nim się bić.

— Zabierajcie się stąd precz! Kradziony ten nóż i widzieć go nie chcę.

— Co? - zawołał Hieronim, jak raniony lew. — Co? Mnie? Na mnie?...

I bez namysłu rzucił się ku kupcowi. Ten już był za ladą, a widząc wściekłość Hieronima, cofnął się jeszcze dalej, i wykrzyknął:

— Niech ci będzie i nie kradziony, twój własny - ale czego chcesz? Idź precz!

Bał się, że w tym ścisku coś mu skradną.

Stach, który nie lubił awantur, ciągnął Hieronima za rękaw, aby iść już dalej, ale Pietrkowi bardzo się spodobał frant, i ani myślał odchodzić.

Frant tymczasem zaczął się targować, biorąc w obronę sprawę żaków. Kupiec rozzłoszczony, znękany wesołością widzów, przybity dowcipami franta, dał wreszcie piętnaście dukatów. Pietrek chciwie zgarnął pieniądze i wręczył Hieronimowi, a frant rzekł:

— Litkup mi się patrzy od was. Przyjdźcie wieczór do winiarni Pyrnusza pod zamkiem.

— Słuszna jest rzecz!—zawołał Pierek, i Hieronim także potwierdził z gotowością:

— Przyjdziemy wieczór.

Mieszkanie.

Dostawszy pieniądze za nóż, Hieronim uczuł się bogatym, jak król. Na co nie spojrzał, to mu się zdawało już jego. Najpierw zaraz o parę kramów dalej kupił sobie prosty, ale dobry nóż żelazny, prawie półtora raza większy od tamtego. Następnie udali się do kramów z odzieżą, i tam kupił sobie topieniak, czyli krótką tunikę z czeskiego czarnego sukna. i myc-



.... Wyszedł do Żaków i spytał mdłym głosem..

kę, jak jej używali żacy. Natychmiast ubrał się w to, i wyglądał jak student prawdziwy.

Teraz trzeba było pomyśleć o mieszkaniu. Zbliżało się też południe. Stach musiał wracać do bursy, i namawiał Hieronima, przepowiadając mu, że go przyjmą.

Ale Hieronim ani chciał o tem słyszeć, by iść w taką niewolę do bursy. Zdawało mu się, że za tyle pieniędzy może żyć wygodnie i swobodnie, wynająwszy mieszkanie gdzieś na mieście. Odrazu też zaprosił Pietrka ze sobą. Stach odszedł, a ci dwaj poszli szukać mieszkania w jakim mieszczańskim domu.

Idąc tak, ujrzeli piękną kamienicę wysoką i z jasnymi oknami, ochędożną i bogatą.

— Tu radbym mieszkał — powiedział Hieromin.

Pietrek odradzał, dom wydawał mu za porządny. Ale Hieromin zakołatał do drzwi. Otworzyła im dziewczyna, i spytała czego im trzeba. Słysząc, że chcą tu mieszkać, bardzo się zdziwiła, ale poszła powiedzieć panu.

Był to dom prokuratora, czyli adwokata przy miejskim sądzie krakowskim. Ten adwokat był już stary, ale przemyślny i chciwy, jak mało który inny, a przytem skąpy jak rzadko.

Dowiedziawszy się o żakach, posłał do nich swego ucznia, aby się przekonał, co to za jedni Uczeń jego był bakałarzem, czyli zdał pierwszy egzamin, bakalaureat, w akademji. Na prokuratorskiej służbie tak wychudł, jak sucha szczapa, i taki był niewyspany, że oczy ledwie mu się otwierały.

Wyszedł do żaków i spytał mdłym głosem, patrząc im na ręce:

— Coście przynieśli?

— Mieszkać tu można? — spytał Hieronim.

Bakałarz odpowiedział zaspany:

— Możecie przynieść prosię albo baranka, tuczonego kapłona, parę kurcząt, gęś, w końcu choć sera gomółkę. Ale z pustymi rękoma nikt tu nie wchodzi, bo dla takich niema jegomości w domu.

— Bartoszu, quem ego!—krzyknął prokurator, słysząc to przez otwarte drzwi.— Nie widzisz, dudku, że to nie do sądu?

— A co mają przynieść?—spytał bakałarz, odwracając się.

— Obaczym—rzekł prokurator, i wstał, odsuwając z hałasem krzesło.

Wyszedł, a ujrzawszy dwóch chłopców, wcale nie bogato wyglądających, zawołał:

— Bartoszu, dudku, oczu nie masz? Ci błaznują, a ty ich słuchasz! Precz, żebraki!

I zamykał drzwi.

Ale Pietrek, obrażony, krzyknął:

— Szczekuła stary!

Prokurator udał, że nie słyszał tej obelgi, i zatrzasnął drzwi, a żacy poszli dalej.

— Każdy szczekuła ze skóryby obłupił—urągał Piętrek.—To jest rodzaj jaszczurczy, najgorsi z ludzi. A widziałeś, jak ten chudy nam na ręce patrzył? Ci tylkoby brali.

— Inni są lepsi?—spytał Hieronim wątpliwie.—Gdzieby teraz pójść?

— Mnie się widzi do kupca — rzekł Pietrek—bo to jest rodzaj spokojny i bezpieczny, i niema tego złego nałogu, co prokuratorzy, że każdemu w ręce jeno patrzy. Chodźmy do kupców.

Teraz pytali najpierw dzieci na ulicy, albo kobiet w oknach, czyj jest dom, zanim zakołatali.

W jednym z kupieckich domów wkońcu im powiedziano, że jest miejsce.

Mieszkała tam wdowa. Agnieszka Kleczewska. Ta przyjrzała się żakom, i spytała, który to chce u niej nająć mieszkanie. Usłyszawszy, że Hieronim, powiedziała, że go przyjmie. Myślała bowiem, że jeśli to Pietrek, to go nie chce, gdyż musi być łobuz, jakich mało.

Ale Hieronim, spytawszy, czy mu da izbę osobną, oświadczył, że chce, by Pietrek z nim został.

Wdowa popatrzyła na Pietrka i pokręciła głową.

Pietrek dotknięty tem, zawołał:

— Cóż pani tak kręcisz głową? Myślisz, że nie będę księdzem, a może i biskupem?

Ale wdowa, nie ujmując nic przyszłym jego godnościom, widziała w nim na razie małego żaka i wierutnego łobuza. Była jednak miękkiego serca i westchnąwszy, rzekła:

— Niech zostanie tydzień na próbę. Ale, byłliby psotny, pójdzie precz.

I zaprowadziła ich na dziedziniec, a stąd, odkrytemi schodkami na poddasze, gdzie otworzyła małą izdebkę, z oknem na dach. Zaraz z pomocą żaków i służebnej zakrzątnęła się koło urządzenia tej izby. Wnieśli tam pryczę drewnianą, potem służebna poszła z żakami napchać siennik słomą. Jeszcze przyniesiono dwa zydle i stołek, mogący służyć za nizki stół, i mieszkanie było gotowe.

Dom Agnieszki Kleczewskiej stał przy cichej ulicy, niedaleko od parafialnej szkoły Wszystkich Świętych. Był to dom taki, jak wszystkie inne mniejsze miejskie domy. W rynku domy były murowane, wysokie, piętrzyły się rzędami okien coraz wyżej, ozdobione były kolorowemi cegłami, rzeźbami, słupkami, framugami rozmaitemi, odrzwiami rzeźbionemi w kamieniu. Ale w uliczkach na uboczu stały domy mniejsze, drewniane, podobne do dworków na wsi, mające z tyłu dziedziniec, przy którym były składy towarów, stajnie, warsztaty. Za dziedzińcem bywał zwykle ogródek.

(D. c. n.).



STARY DĄB.

Wycieczki w najbliższe okolice Warszawy.

DOKOŃCZENIE.

Jabłonna.

Jabłonna o milę od Bielan, tylko na prawej stronie Wisły leży w pięknej miejscowości, wśród bogatych lasów, stanowiących szczątki dawnej olbrzymiej puszczy. Wznosi się tu wspaniały pałac i park, a dobra wyróżniają się wzorowem, rolnem gospodarstwem. Śliczna ta miejscowość w letnie miesiące zwiedzana bywa przez mieszkańców Warszawy, szukających świeżego powietrza i rozrywki. Wiele także osób zjeżdża się tu na letnie mieszkanie.

Jabłonna od dawnych czasów była własnością biskupów Płockich, którzy często tu przebywali, zwłaszcza kiedy stolicę Mazowsza przeniesiono z Czerska do Warszawy.

Mieszkał tu Fryderyk Karol, brat Władysława IV. W ośmastym wieku, Michał Poniatowski, biskup płocki, a następnie prymas, brat Stanisława Augusta, nabył Jabłonnę od kapituły na wyłączną swą własność. On to założył piękny ogród, odbudował i uporządkował wieś całą, rozpoczął budowę pałacu, którą ukończył jego synowiec i spadkobierca, książę Józef Poniatowski. Siostrzenica księcia, hrabina Wąsowiczowa, upiększyła i rozszerzyła pałac, założyła park, którego bramę przyozdabiają dwie kolumny granitowe, sprowadzone z Malborga, gdzie wspierały sklepienia sal zamku krzyżackiego.

W XIX wieku Jabłonna przeszła w posiadanie hr. Potockich i dotąd do ich majątków należy.

Czersk.

Wycieczka do Czerska kolejką grójecką, lub statkiem, dążącym do Sandomierza, jest nietylko miłym odpoczynkiem, nietylko nasyci płuca świeżem, wonnem powietrzem, ale dla tych, którzy czczą pamiątki, stanie się prawdziwą ucztą, pobudzi duszę, wywoła wspomnienia z prastarych dziejów, a ruiny zamczyska w Czersku, niegdyś obrona przed pogaństwem, wzniesiona przez Piastów, budzą wspomnienia i niejedną łzę wycisną, z tęsknoty za minioną przeszłością.

Czersk był grodem starożytnym, jednym z najstarszych w Polsce, a w XIII wieku stał się stolicą książąt udzielnych na Czersku. Już wówczas był zabudowany budowlami kamiennemi, a ponad niemi wznosił się wielki, murowany zamek.

Gdy Czersk się rozrastał i miał już znaczenie, Warszawa była małą jeszcze wioską.

Założenie Czerska kronikarze przypisują Bolesławowi Chrobremu, inni twierdzą, że istniał już w czasach przedchrześcijańskich i twierdzeniu temu wierzyć trzeba, bo o Czersku spotyka się wzmianki w pierwszych wspomnieniach o Mazowszu.

Wspaniały widok Czerska od strony Wisły pozwala przypuszczać, że na wyniosłej górze, odsłaniające się olbrzymie baszty, wieżyczki kościoła i rozrzucone białe domki, wszysko spowite gęstwiną drzew, kryją jakiś gród wspaniały. Błędne to przypuszczenia. Czersk jest dziś maleńką tylko osadą.

Za czasów Konrada I-go musiał to być gród znaczny, kiedy kroniki wspominają, że w r. 1228, Konrad pochwycił Henryka Brodatego, księcia włocławskiego, i żona tegoż, święta Jadwiga, przybyła do Czerska i prośbami uwolniła męża, a prócz tego wyjednała zgodę z Konradem i związkami familijnemi ją wzmocniła.

Od czasów Ziemowita I, księcia mazowieckiego, rozpoczyna się już zupełnie jasna historja tego grodu.

Książę ten zaraz na początku swego panowania prowadzi bezustanną walkę z Litwą i Jadźwingami, co go skłania, że stary gród Płock opuszcza i przenosi swą stolicę do Czerska, aby być bliżej wschodniej granicy.

Ziemia Czerska ze stolicą w Czersku stanowiły odtąd jakby odrębną całość, a książęta mazowieccy, jak Ziemowit I-szy w roku 1256 tytułowali się „Książętami Mazowsza i ziemi Czerskiej".

Upadek Czerska datuje się od czasu przeniesienia stolicy do Warszawy, gdyż wraz z książętami, przeniósł się tam dwór cały i wszyscy dygnitarze, a z nimi to, co miasto wznosiło i utrzymywało.

Stefania Ottowa.

Historja o bogobojnym pustelniku i o zbóju Hrudynhopie.

(Legenda o kościołku św. Piotra w Pilicy).

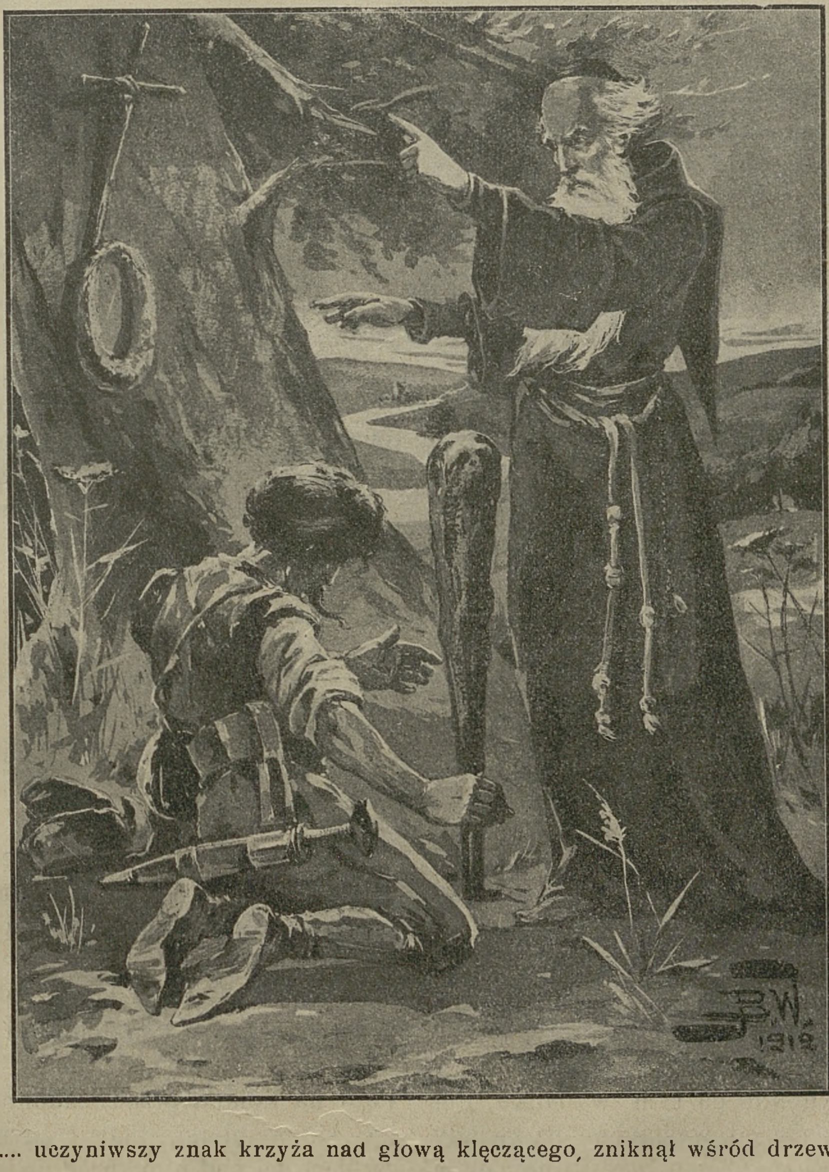
Napisała Ciocia dla Maryleczki R. z Milejowa.

Dawno już bardzo, bo lat 600 z górą, w owych czasach jeszcze, kiedy to Polska cała prawie pokryta była olbrzymiemi borami, żył Hrudynhop, zbój okrutny, będący postrachem całej okolicy na wiele mil dokoła. Drżał przed nim każdy, tak biedny, jak i możny, bo Hrudynhop tak był rozmiłowany w swojem zbójeckiem rzemiośle, że gdy nie powiodła mu się czasem wyprawa, z której obiecywał sobie niemałe korzyści, uniesiony straszliwą złością, opuszczał jaskinię i towarzyszy i przez dni kilka, jak zraniony zwierz, biegał po lasach, a wtedy każdego napotkanego człowieka kładł trupem na miejscu, choćby nim był nędzarz największy. Z uśmiechem patrzył na konającego i wsłuchiwał się w jego jęki, nasycając okrutne i mściwe serce swoje rozkoszą zemsty za nieudaną wyprawę. Takim był Hrudynhop.

A łzy i błagania żony nie odnosiły żad-

nego skutku, nie mogły wywołać ani iskierki litości dla nikogo w duszy tego okrutnika.

dłuższą nieobecność swoją w domu. Dopiero przypadek otworzył jej oczy na wszystko.



.... uczyniwszy znak krzyża nad głową klęczącego, zniknął wśród drzew.

Biedna kobieta przeczuwała wiele złego ale jeszcze dobrze nie wiedziała, jakiem rzemiosłem trudni się jej mąż. Hrudynhop bowiem udawał przed żoną, że pozostaje w służbie u pewnego kupca handlującego drzewem i tem tłomaczył każdą

Gdy pewnego razu Hrudynhop dłużej, niż zwykle, nie wracał ze swymi towarzyszami, postanowiła wybrać się na ich spotkanie. Nad wieczorem puściła się w stronę lasu, dokąd Hrudynhop udadawał się zwykle na swoje wyprawy.

Zajęta myślą o spotkaniu z mężem, ani spostrzegła, jak noc zaskoczyła ją w lesie, a nie znając dobrze lasu i drogi do domu, zabłądziła na dobre. Przerażona biegła tak przed siebie, modląc się i wzywając pomocy bożej, gdy nagle spostrzegła w dali słabe światełko; wydało jej się, że coś jak gdyby zmieszany gwar głosów ludzkich dochodzi ją stamtąd. Słysząc nieraz o napadach zbójeckich, z trwogą posuwała się w stronę światełka. Gdy była już tak blizko, że mogła rozróżnić twarze przy blasku pochodni, skamieniała z przerażenia! Okropny widok ujrzały jej oczy; był to niestety, Hrudynhop, jej mąż, ze swymi towarzyszami – zbójcami.

Klęczał na ziemi przy trupie zamordowanego mężczyzny i ściągał z jego palców kosztowne pierścienie. Na ziemi leżało rozsypane złoto i różne drogocenne przedmioty. U wejścia do jaskini siedzieli zbójcy i wesoło rozprawiali o świeżo dokonanej zbrodni, dzieląc się zdobytym łupem, gdy nagle wesołość tę przerwał okrzyk:

– Boże! zlituj się nad jego duszą!

Skoczył pierwszy Hrudynhop, a ujrzawszy leżącą na ziemi postać ludzką, z twarzą ku ziemi odwróconą, bez chwili namysłu pałką roztrzaskał jej głowę. W mrokach nocy nie poznał własnej żony, nie przypuszczając jej obecności tak daleko od domu.

Ale i ta zbrodnia nie zdołała skruszyć twardego serca okrutnego zbója.

W parę tygodni po tym wypadku, dowiedziawszy się od wysłanego na zwiady towarzysza, że bardzo bogaci kupcy mają przejeżdżać przez lasy, wioząc z sobą mnóstwo kosztowności, towarów i pieniędzy, wyszedł do lasu, chcąc w samotności ułożyć sobie cały plan tej nowej wyprawy, o którą mu bardzo chodziło.

Zapuścił się w las głęboko, a za całą broń miał przy sobie nieodstępną swoją towarzyszkę, grubą pałkę z dębiny. Gdy tak zamyślony, ze zwieszoną głową, szedł wolnym krokiem, nagle uszu jego doszło głębokie westchnienie. Przystanął, wyraźnie już teraz usłyszał słowa głośno odmawianej modlitwy:

— O, Chryste! Ty, któryś przebaczał winy największym grzesznikom, wysłuchaj i mnie, i przyjmij duszę moją do królestwa Twego!

Hrudynhop postąpił kilka kroków i ujrzał klęczącego pod wielką lipą pustelnika, w zakonnem ubraniu. Bladą twarz staruszka rozjaśniał uśmiech, długa biała broda spływała mu na piersi, a gdy tak klęczał nieporuszony, ze skrzyżowanemi na piersiach rękami, z przymkniętemi oczyma, czynił wrażenie nieziemskiego zjawiska.

Nie ukorzył Hrudynhopa widok świętej prawie postaci zakonnika. Przeciwnie wpadł w złość okrutną, nie mógł bowiem znieść obok siebie cnoty i niewinności. Gdy więc pustelnik, powstawszy z klęczek, zwrócił się twarzą ku niemu, ujrzał przed sobą Hrudynhopa z wzniesioną w górę pałką. Nie uląkł się jednak groźnej postawy zbójcy, lecz podniósłszy wzrok ku niebu rzekł:

— Panie, bierz życie moje na ofiarę, jeśli taka wola Twoja! — i postąpił kilka kroków w stronę zbójcy, patrząc mu w oczy łagodnym wzrokiem. Ten to wzrok anielski i głęboka pokora, z jaką los swój przyjął siwy starzec, do głębi wstrząsnął skamieniałą w grzechach duszę Hrudynhopa! Padł na kolana przed zakonnikiem, a bijąc się w piersi, błagał przebaczenia za zamierzoną nad nim zbrodnię i prosił o spowiedź

I wielki grzesznik, pod tą samą lipą, pod którą zamierzał przelać krew starca, uczynił spowiedź z całego swego zbrodniczego żywota. Świętobliwy pustelnik, wysłuchawszy spowiedzi, rzekł:

— Odtąd życie swoje masz poświęcić

tylko na pokutę, za krew ludzką, którą tylekroć razy przelałeś.

Poczem rozkazał Hrudynhopowi wkopać w ziemię pałkę, a wskazując na nią miejsce, rzekł:

— Na klęczkach będziesz nosił wodę ze źródła, o milę stąd płynącego i będziesz nią podlewać ten kawałek drzewa, a gdy ujrzysz na nim listki zielone, będzie to znak widomy miłosierdzia boskiego nad tobą. Wtedy na tem miejscu zbudujesz kościół i wezwiesz dlań opieki Ś-go Piotra. Bóg z tobą!

Po tych słowach, starzec uczyniwszy znak krzyża nad głową klęczącego u stóp jego, Hrudynhopa, zawrócił się i zniknął wśród drzew.

Cztery lata na klęczkach nosił Hrudynhop wodę ze źródła. Woda i łzy pokuty codziennie zraszały ziemię, aż nareszcie ujrzał na dębinie zielone pączki, w końcu i listki. Radość jego była bezmierna; przez cały dzień, nie wstając z kolan modlił się, zalewając się łzami szczęścia za doznane nad sobą miłosierdzie boże.

I dotrzymał Hrudynhop słowa pustelnika, wystawił kościół, resztę skarbów i pieniędzy rozdał ubogim, a sam do śmierci już na klęczkach pełnił służbę przy kościele.

* * *

Na tem więc miejscu, wedle legendy, stanął śliczny, modrzewiowy kościołek pod wezwaniem Ś-go Piotra, który po dziś dzień oglądać można.

Wzniesiony na wysokiej górze, po za miasteczkiem, otoczony wieńcem wspaniałych, starych lip, zdaleka niewidzialnym jest prawie i tylko wychylająca się z pośród drzew wieżyczka, każe się domyślać istnienia w tem miejscu jakiejś budowli.

Zarówno zewnętrzny jak i wewnętrzny wygląd tego kościołka, mówi nam o jego bardzo starodawnem pochodzeniu. Niezwykle oryginalnie malowane są ściany i sklepienie; ma to być naśladowanie fresków na drzewie. Różnorodność deseni i barw, we wszelkich możliwych odcieniach, składa się na wytworzenie pewnego rodzaju malowanej mozajki. Dwa boczne ołtarze i niektóre obrazy są już z czasów późniejszych, ale znajdują się też zabytki i bardzo dawne.

Koroną jednak orginalności, jaką się w kościele tym spotyka, jest chór, malowany w tym samym stylu, co i kościół. Nad frontowemi drzwiami w chórze zrobione jest podłużne wgłębienie, niby ja sełka w szopce, w którem przedstawiona jest: ,,Wieczerza Pańska". Bardzo pierwotnie rzeźbione figurki Chrystusa i św. apostołów, jaskrawo malowane ich szaty, budzą nadzwyczajną ciekawość i prawie zachwyt w zwiedzających. Jest to może jedyny na polskiej ziemi kościołek, posiadający tak znamienne cechy bardzo odległych czasów. Odnowiony został przed kilkunasty laty, z zachowaniem zupełnem pierwotnego swego stylu.

Obecnie kościołek ten nie posiada od wielu już lat księdza. Plebanji niema tam wcale. I tylko ksiądz miejscowy, z parafjalnego kościoła w Pilicy, raz na miesiąc odprawia mszę świętą, a raz do roku, w dzień śś. apostołów Piotra i Pawła odbywa się w kościołku tym nader uroczysty odpust, na który zjeżdża się mnóstwo ludu, z bliższych i dalszych okolic Pilicy. Z kościołów w Pilicy w dniu tym idzie na górę św. Piotra wspaniała procesja, której towarzyszy miejscowa orkiestra (taki jest tutaj zwyczaj miejscowy).

Z góry, tak zwanej Ś-go Piotra, roztacza się dokoła śliczny, malowniczy widok na całą okolicę. Jest to wspaniała panorama, która nie mało przyczynia się do podniesienia uroku tej poetycznej legendy, jaka jest przywiązana do kościołka Ś-go Piotra w Pilicy.

Pisałam w Pilicy na górze św. Piotra.

Natalja R.



Marja Buyno.

KOLEDZY.

Ciąg dalszy.

— Boże! Niech on wyzdrowieje! Niech wróci do nas! Wynagrodzimy mu wszystkie ciężkie chwile, jakie przez nas przechodził! Otoczymy go miłością i serdecznością, której tak od nas pragnął!

Otaczając Witolda i wysłuchując opowieści o stanie zdrowia Michasia, chłopcy zapominali zupełnie o tem, że Witold w decydującej chwili nie tylko nie ujął się za przyjacielem, lecz niemal go potępił, a pamiętali tylko, że to on właśnie jeden jedyny stanął przy łóżku ciężko chorego i ciężko przez nich pokrzywdzonego kolegi, on jeden zaniósł strapionej matce słowa pociechy i miłości dla jej syna. Potępiali tylko siebie, zaś dla niego czuli wielką wdzięczność. A Witold dobrotliwie, z wielką pobłażliwością starał się zmniejszyć ich winę:

To był taki dziwny zbieg okoliczności, tak się wszystko nieszczęśliwie składało...

I powoli, od niechcenia rzucał wyrazy, które wskazywały, że w tej sprawie ktoś inny zawinił, że człowiek, najlepszy nawet i najmędrszy, może się pomylić. Nie wymieniał nikogo, lecz chłopcy mimowoli patrzeli w stronę Zygmunta, a dużo między temi spojrzeniami było niechętnych... Z czasem niewiadomo jak, ustaliła się opinja, że właściwie od pierwszej niemal chwili między klasą a Strzemboszem, stał Zygmunt.

Jego to zresztą mało zajmowało. Od owej pamiętnej chwili, gdy nieprzytomny z rozpaczy wychodził z mieszkanie Strzemboszów, nie miał chwili spokoju.

Cierpła na nim skóra, gdy myślał, że może w tej chwili śmierć rozpościera swe ramiona nad umęczoną głową Michasia! Zrywał się, by biec, dowiedzieć się, zobaczyć go! Ah, zobaczyć koniecznie! Lecz wtedy stawała przed nim blada, marmurowa postać matki, z niemym zapytaniem na ustach... Nie! Nie! Tego by nie zniósł!

Męczył się więc nadmiernie, zupełnie bezradny, drżący ciągle z obawy, nasłuchujący niespokojnie, jakby lada chwila miał usłyszeć okrutną wiadomość...

Zmizerniał, zbladł, oczy świeciły mu jakimś ponurym blaskiem. Nie rozmawiał z nikim i nawet wyraźnie opuścił się w lekcjach. Jednego dnia, zobaczywszy gromadkę chłopców, otaczających Witolda, który rozprawiał o czymś z ożywieniem, zbliżył się, wiedziony złem przeczuciem i usłyszał, jak Witold opowiadał:

— Bardzo jest źle!... Doktór już zupełnie stracił nadzieję... tylko matce jeszcze nie mówimy... Dziś w nocy może nastąpić katastrofa!...

Chłopcy byli szczerze zmartwieni, milczeli posępnie, nie mając odwagi o nic zapytać...

W Zygmunta uderzyła ta wiadomość, jak grom. Siedział do końca lekcji nie-

przytomny, z jakimś dziwnym bezustannym hukiem w głowie, z iskierkami palącemi, jak rozżarzone węgle w oczach.

— To niemożliwe! On nie może umrzeć!— powtarzał sobie nieskończoną ilość razy, nie słysząc nic, co się wokoło niego działo!

Powlókł się do domu, lecz nie tknąwszy jedzenia, po jakimś czasie, nie mogąc wysiedzieć spokojnie, wyszedł, nie zdając sobie sprawy po co, dlaczego, dokąd.

Długi czas krążył po ulicach, aż wreszcie, gdy już zmrok zapadał, znalazł się na schodach wiodących do mieszkania Michasia.

Na ostatniej kondygnacji zatrzymał się; serce mu biło gwałtownie, kolana uginały się pod nim... czuł, że nie wejdzie dalej, że sił mu na to nie starczy. Lecz nie miał też sił, by odejść.

Przytulony do muru w słabo oświetlonym kącie, stał nieruchomy.. Nie mógł sobie zdać sprawy, jak to długo trwało, zresztą nie myślał o tem. Przed oczami majaczyła mu ciągle blada twarz, leżąca bezwładnie na poduszkach, o spieczonych wargach, z których wybiegały oskarżające wyrazy.

Odzyskał nieco przytomności, gdy usłyszał ciężkie kroki stróża, który przyszedł gasić światło. Zrozumiał wówczas, że będzie musiał wrócić do domu, bo przecież stróż nie zostawi go tu na schodach. Ale on odejść nie chciał i nie mógł, czuł, że nie wytrzymał by w domu, z gnębiącą myślą, że może tam, w małym pokoiku wszystko się kończy!

Wtulił się bardziej jeszcze w kąt i przepuścił koło siebie stróża, który go nie zauważył. Lecz teraz, gdy będzie wracał, zgasiwszy światło na ostatnim piętrze, zobaczy go napewno! O, już spotkał wzrok jego, biegnący ku niemu.

Zrobił krok naprzód, idąc naprzeciwko stróża, który usunął mu się z drogi, przypatrując się bacznie. Zatrzymał się nawet, a Zygmuntowi serce zabiło silnie: zatrzyma go, każe zejść ze schodów! Lecz stróż spoglądał z pewną, rzec można sympatją na bladego, widocznie cierpiącego chłopca.

— Panicz pewno do tego — biedaka? O, tam już, zdaje się, źle! Oj, bieda, nieszczęście!

I mruczał coś jeszcze, schodząc na dół i gasząc światło po świetle.

Zygmunt doszedł aż do drzwi; wiedział, że nie zdobędzie się na to, by wejść, a jednak nie mógł odejść. Z oczami utkwionemi w te drzwi, za któremi rozgrywała się ostateczna walka o śmierć i życie, pozostał długi, długi czas...

Wreszcie kolana ugięły się pod nim i ukląkł, opierając głowę o framugę drzwi; po jakimś czasie zdawało mu się, że uchwycił szmer jakiś, widocznie ktoś przechodził przez przedpokój. Jeszcze potem jakby słaby dźwięk mowy ludzkiej przedarł się przez drzwi, a potem nic... nic... Cisza jakaś przeraźliwa, złowroga.

Zygmunt zwolna tracił świadomość rzeczywistości: znużenie, naprężenie nerwów, męczarnie moralne, jakie przechodził w ostatnich czasach, owładnęły nim całkowicie. Zmęczony umysł nie mógł się bronić, gdy chmurą opadły go widziadła, halucynacye...

Nie wiadomo, jak i kiedy znalazł się w pokoju. słabo oświetlonym przysłoniętą lampą. Wciśnięty w kąt miał przed sobą, biało zasłane łóżko, na którem rysowała się wyraźnie wychudzona postać Michasia. Jasne włosy, rozrzucone w nieładzie na poduszce, okalały twarz, bardzo bladą, wyciągniętą, z głęboko wpadłemi oczami. Wargi były prawie czarne, tak je spaliła gorączka. Obok, na dużym fotelu siedziała matka, widział jej przezroczyste ręce; złożone bezwładnie na kolanach, jej piękną, bladą twarz, z wyrazem wielkiego

zmęczenia i bólu, z zamkniętemi oczami, jakby w chwilowym uśpieniu.

Chory leżał nieruchomo przez czas jakiś; nagle drgnął, usta mu się poruszyły i wydobył się z nich jęk bolesny... Ah, pewnie zaraz stanie koło niego matka, miękką, kojącą dłonią chłodząc mu skronie... Lecz nie, spoczywa ona nieruchomo, tylko ból coraz większy maluje się na jej twarzy. Chory jęknął poraz drugi... Zygmunt zadrżał, bo oto wytężywszy wzrok, dojrzał, iż spoczywającą postać matki jakieś nieuchwytne ręce spowijają w mgliste, szare opony tak, iż ruszyć się nie może, mimo widocznych wysiłków. Teraz i twarz zasnuwają,... widać tylko oczy... lecz i oczy nikną... już jej nie widać, cała została uwięziona! Chory jęczał ciągle; teraz otworzył oczy, w których znać było bezmierne przerażenie.

— Mamo!

Przez szare opony przebiły się promienie oczu więzionej matki, lecz wnet te same nieuchwytne ręce zasnuwać je zaczęły...

Zimny pot wystąpił na czoło Zygmunta, jakiś lodowaty wiew go owionął... pokój cały napełnił się złowrogiem zimnem, które szło od jakiegoś niewyraźnego kształtu, zwolna posuwającego się ku choremu...

Teraz już widać było wielkie skrzydła, ciągnące się ociężale po ziemi, za wysoką postacią, jakby z dymów uwitą, bez kości, zda się, i ciała... Koło fotelu, na którym spoczywała matka, widać było wciąż nieuchwytne ręce, snujące szare opony, by stłumić promienie oczu, które co chwila przebijały więzy...

D. c. n.

WYŻEJ!..

O czem ja nie marzę,
O czem ja nie roję?..
Lećcie wyżej, wyżej,
Ciche piosnki moje!..

Ponad skalne szczyty
Orzeł się kołysze — —
Hej, i wy pomknijcie
W Tatr błękitną ciszę!

Sunie obłok srebrny
Po jasnem przestworzu — —
Lećcie, piosnki, za nim
Po tem modrem morzu!..

A tam wyżej, wyżej
Gwiazdeczka migocze — —
Rwie się ku niej piosnka,
Jak ptak się trzepocze.

Wznosi się piosenka
Wyżej — cicha, drżąca — —
Skrzydełkami swemi
O gwiazdeczkę trąca...

Lecz nad gwiazdką złotą
Wszechświat, hen, majaczy — —
Piosnko, zginiesz w dali,
Jako ptak tułaczy...

Lecz ona nie słucha,
Płynie, leci w ciszę,
Jako pył, jak atom,
Wśród gwiazd się kołysze...

Wchłania moc i ciszę,
Mknąc szlaki złotemi,
I znów lekko, cicho
Spłynęła ku ziemi...

M. Chełmońska.

SŁONIE.

Ciąg dalszy

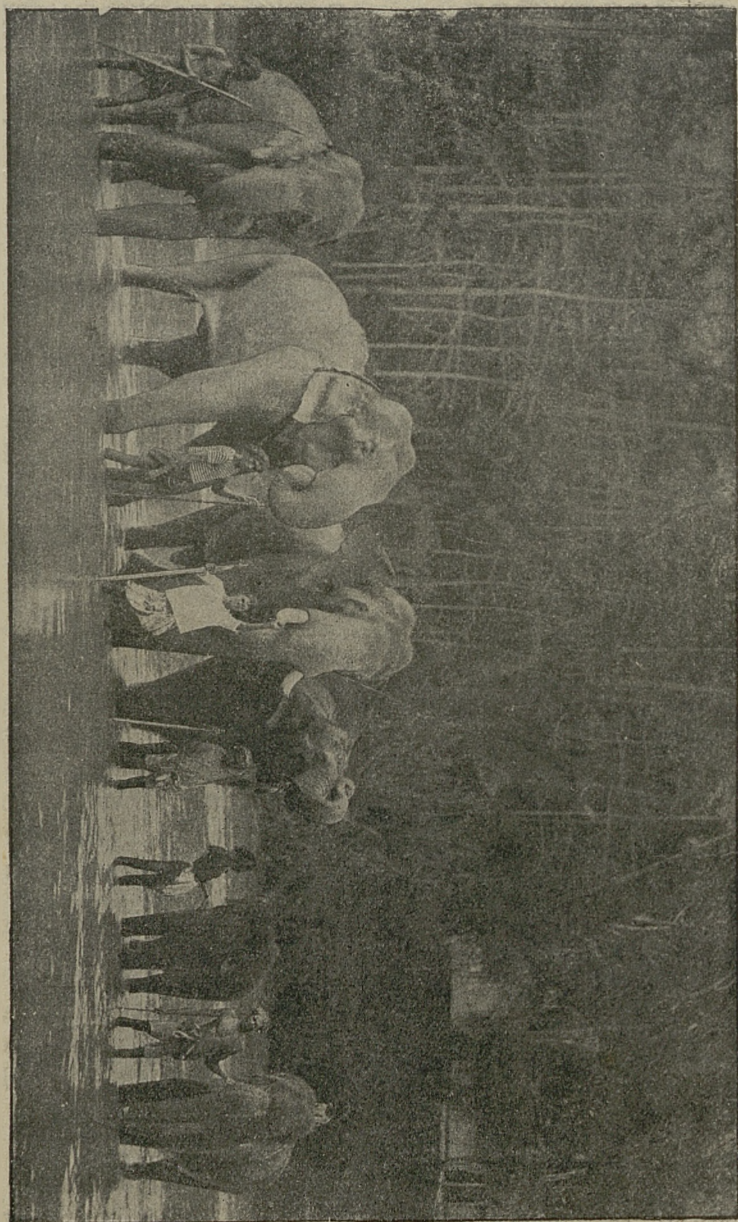
W Indjach łapią czasem odrazu całe stado słoni; takie polowanie jest najwspanialsze i najciekawsze ze wszystkich, jakie tylko sobie można wyobrazić. W tym celu zwołują kilkuset tuziemców, znających się na łowach tego rodzaju, i gromadzą o ile tylko można najwięcej słoni oswojonych. Skoro tylko zostanie wykryte miejsce w lesie, gdzie znajduje się jakieś większe dzikie stado, wówczas w odległości kilku kilometrów tworzą dookoła niego kilka posterunków i szybko, bez szmeru budują płot z trzciny bambusowej. Po upływie jakich dwóch dni słonie poczynają się niepokoić i starają się przerwać otaczające koło, lecz gdziekolwiek się ruszą, wszędzie są spotykane krzykami, ślepemi wystrzałami, i migającemi pochodniami. Wreszcie oswajają się ze swym losem i grupują się w środku koła, gdzie są najmniej niepokojone.

Podczas tego Indusi budują z czterometrowej wysokości słupów i pali mocne ogrodzenie, mające prawie 50 metrów w promieniu. Znajdujące się w nim cztery metry szerokie wejście można w jednej chwili zatarasować, za pomocą spadających z góry drzwi, a od słupów umieszczonych koło wejścia, prowadzą dwa długie parkany z desek, oddalając się coraz bardziej od siebie. Wreszcie krąg poganiaczy zacieśnia się coraz bardziej dookoła stada i krzykami i hałasem zapędza je w szeroką, lejkowatą uliczkę, a ponieważ słonie nie mają już innej drogi, pchają się na mocny płot, drzwi spadają za niemi i dostają się w pułapkę. Wprawdzie usiłują rozerwać płot, lecz jest on zbyt mocny, a poganiacze odstraszają je od niego z zewnątrz.

Wreszcie pozostawiają zwierzęta w spokoju przez dwie doby; po ich upływie następuje najniebezpieczniejsza i najtrudniejsza część polowania.

Najdoświadczeńsi i najzdolniejsi łowcy wjeżdżają na oswojonych, dobrze wytresowanych słoniach w ogrodzenie, są oni zręczni jak koty i mimo wielkiej odwagi, bardzo ostrożni. Oswojone słonie są przewiązane powrozami, za które może je jeździec mocno trzymać, a podczas chwytania sunąć się po nich.

Słonie kierowane są przez swych panów za pomocą małego, żelaznego kolca. Tak uzbrojony zbliża się jeździec do jednego z dzikich słoni. Jeżeli ten szykuje się do napadu, wtedy podbiega drugi oswojony słoń i atakuje go uderzeniami kłów. W odpowiedniej chwili jeździec zarzuca swej ofierze pętlicę na szyję, oswojony zaś słoń pomaga trąbą zacisnąć ją, drugi zaś koniec sznura przywiązują do drzewa. Wtedy jeździec zsuwa się na ziemię, zakłada drugą i trzecią pętlicę na tylne nogi. Teraz słoń staje się już nieszkodliwy i bezskutecznie szarpie swe



Pojenie słoni indyjskich.

więży. Reszta łowców załatwia się podobnie z innemi jego dzikiemi krewnemi.

Potem po kolei wyprowadzają więźniów z ogrodzenia i przywiązują w lesie do drzew. Tutaj słonie muszą się przez dłuż-

szy czas przyzwyczaić do towarzystwa ludzi i oswojonych słoni, a gdy zupełnie już pozbędą się strachu i dzikości, prowadzą je do wsi, gdzie je tresują, by pracowały na swych panów.

Praca oswojonych słoni przedstawia ciekawy widok. Dźwigają one budulec i paki towarów po drogach i wszędzie, gdzie wymagana jest wielka siła; czy to podczas pokoju, czy wojny, stanowią pożyteczną pomoc.

W głębokiej starożytności armia indyjska składała się z czterech części: z oddziału słoni, z rydwanów wojennych, konnicy i piechoty. W roku 331 przed Chrystusem, Europejczycy po raz pierwszy spotkali się ze słoniami podczas bitwy pod Arbeby, w której zwyciężył Aleksander Wielki króla Darjusza; gdy król Macedoński przeszedł przez Ganges, miał bardzo trudną przeprawę w roku 327 na brzegu Hydosper z wojennemi słoniami króla Porusa, które służyły za ochronę nieprzyjacielskiej piechocie.

Lecz Macedończycy wiedzieli, jak sobie radzić; toporami i oszczepami poczęli celować w trąby i pięty słoni, a te wpadały z bólu w taką wściekłość, iż zaczęły deptać wszystko dookoła siebie, nie wyłączając żołnierzy Porusa, znajdujących się między niemi i nie mogących się zupełnie stamtąd wydostać.

Kiedy Aleksander po swych bajecznych zwycięstwach powracał do Babilonu, wspaniałość jego tryumfalnego wjazdu powiększał cały szereg słoni indyjskich. Stały one później jako symbole nieograniczonej władzy, zawsze uwiązane przed jego namiotem i przed tronem, a kiedy umarł, szły przybrane w złote łańcuchy i chusty przy jego zwłokach. Wóz paradny, na którym przewożony był sarkofag Aleksandra do Egiptu, był przyozdobiony wizerunkami indyjskich słoni.

W mytologji Indusów słoń odgrywa również pokaźną rolę. Indusi wyobrażają sobie, że świat cały spoczywa na grzbietach ośmiu wielkich słoni, zwróconych w ośm stron świata. Indra, bóg powietrza i burz, przedstawiony jest jadącym na słoniu, a Ganesz, bóg mądrości i nauk, posiada głowę słonia.

W roku 1398 przeszedł wielki tatarski chan, Timur Kulawy, przez Hindu Kuh i spotkał się pod Delhi z królem Indostanu. Ten w swej armji posiadał sto dwadzieścia opancerzonych słoni, do których kłów przytwierdzone były szable i zatrute groty; na ich grzbietach znajdowały się wieżyczki z łucznikami.

Lecz Timur puścił na nie stado dzikich bawołów z płonącemi pochodniami na rogach, tak że słonie się poprzestraszały, cofnęły się i sprawiły straszliwe zamieszanie w indyjskich szeregach.

Kiedy Timur powracał, wiódł ze sobą dziewięćdziesiąt pięć słoni; dźwigały one cegły do budowy jego wspaniałego grobowego meczetu, którego podobna do melonu kopuła wznosi się po dziś dzień nad miastem Smarakandą w Turkiestanie.

Wielki Mogoł, Dżahangir, posiadał aż 12000 słoni, a kiedy w roku 1739 Nadir Szach, zdobywał Delhi i tron Pawi armja jego musiała walczyć z 2000 uzbrojonych słoni. Zrabowane skarby wysłał do Persji na 10000 wielbłądach, 7000 koniach i 500 słoniach, dwadzieścia tych ostatnich podarował sułtanowi w Konstantynopolu.

Tak przechodzi słoń przez dzieje świata i bierze udział w walkach i pracy ludzkiej. W naszych czasach słonie służą przeważnie do podniesienia świetności dworów indyjskich książąt i świąt narodowych. Maharadżowie indyjscy posiadają całe, dobrze utrzymane stajnie słoni do polowania na tygrysy i do jazdy. Podczas uroczystości, na paradach, nigdy nie brakuje tych zwierząt, i stare, dobrze wytresowane słonie, służące do podniesienia

wspaniałości znakomitych królewskich pochodów, są bardzo drogo cenione.

Aby się przejechać na słoniu, wchodzi się na niego po drabinie, na grzbiecie znajduje się wygodne siodło, podobne raczej do fotelu z poręczami, podnóżkiem i dachem od słońca. Można jednak jeździć na nich i bez siodła, mając pod sobą tylko grubą wojłokową derę i pewnego rodzaju trzonek do trzymania się. Prowadzący siedzi na karku i za pomocą żelaznego kolca, kieruje dowolnie zwierzęciem.

(D. n.)

KRONICZKA.

△ Zdobycie Skodaru może się stać powodem wielu poważnych powikłań międzynarodowych. Austrja uroczyście protestuje przeciwko przyłączeniu go do Czarnogórza, które znów stanowczo oświadcza, iż nie wypuści go z rąk.

△ Prusacy uchwalili znów wyasygnowanie 200 miljonów marek na wywłaszczenie Polaków z ich ziemi ojczystej.

△ W Vil-le-Coublay, we Francji, lotnik wojskowy Deblamond, spadł z wysokości 1000 metrów i zabił się na miejscu.

△ W Johannistal, pod Berlinem, spadł z aeroplanem lotnik rosyjski, Abramowicz i zabił się na miejscu.

△ W Teresinie, pod Warszawą, w tajemniczy sposób zamordowany został ks. Władysław Drucki-Lubecki.

△ W Warszawie, we Wrześniu, ma być urządzoną wystawa pod nazwą „Królestwo mody".

GAWĘDKA LISTOWNA.

Telesfora Pumy z ul. Wilczej. Łamigłówkę mogę przyjąć po jej poprawieniu, t. j. gdy słowa będą podzielone na *sylaby* a nie na *pojedyńcze litery*. Kalendarz szkolny, jak to wskazuje jego nazwa, będzie rozsyłany na początku roku szkolnego. Fotografji dotąd nie otrzymano, łamigłówki również. Dziś już to zdjęcie byłoby nie na czasie.

B. Serkowskiego zadanie jest zbyt łatwe dla czytelników «Naszego Świata» i z tego powodu nie mogę go zamieścić.

W kwartale 1-ym rozwiązania wszystkich łamigłówek nadesłali:

Biały Orlik, Huragan, Puma z ul. Wilczej, Wodniak.

Wszyscy wymienieni, otrzymują jako nagrodę — książkę z cyklu Zajmujących Czytanek.

Miejscowi prenumeratorowie mogą ją odebrać w redakcji (Ordynacka 8 m. 7), zamiejscowym będzie wysłana pocztą.

Rozwiezanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 13-go nadesłali: Sarenka z Litwy, Helunia z Bodzanowa.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 14-go nadesłali: Sarenka z Litwy, Helunia z Bodzanowa, Mrówka.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 15-go nadesłali: Sarenka z Litwy, Helunia z Bodzanowa, Białorus z Radomia, Mrówka.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 16-go nadesłali. Biały Orlik, Telesfor Puma z ul. Wilczej.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty

w Warszawie		z przesyłką	
Rocznie	rb. 4 —	rb. 5 kop. —	
Półrocznie	„ 2 —	„ 2 „	50
Kwartalnie	„ 1 —	„ 1 „	25

Za granicą rocznie rb. 5 kop. 50

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.

Adres Administracji — Nowy-Świat 53.

Adres Redakcji — Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Buyno-Arctowa.** Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3